

WIECZORY RODZINNE



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

ŚLAWNI W PIŚMIENNICTWIE.

p. Z. MORAWSKĄ.

Zawsze był wielkim.



ozlicznych ludzi zasłużonych nie brak w przeszłości naszego narodu, lecz takimi, którzyby na każdym kroku dawali dowody prawdziwego obywatelstwa, starając się radą, orężem i piórem służyć krajowi, nie każdy wiek poszczycić się może. Mężem takim, który zawsze i wszędzie był *wielkim*, jest Jan Zamoyski. O czemkolwiek chcielibyśmy mówić od drugiej połowy XVI do początku XVII wieku, musimy wspo-

mnąć imię znakomitego hetmana. Przed wystąpieniem Jana na widownią, rodzina Zamoyskich nie zajmowała wybitnego stanowiska w Rzeczypospolitej; zdaje się, jakoby w ciszy, na uboczu spełniając obowiązki niewielkich urzędów, przygotowywała się i urabiała do stanowiska, jakie nadał jej hetman.

Jan, syn Stanisława, starosty bełzkiego, urodził się roku 1541; pierwsze nauki pobierał w Krasnymstawie; po ukończeniu szkół przygotowawczych, nie poszedł na akademię krakowską, której świetność w owym czasie była przyćmioną, lecz wyjechał do uniwersytetu padewskiego. A jakąż to musiała być pilność i praca młodzieńca, jeżeli po ukończeniu nauk ogłoszono go rektorem tejże akademii, nadając mu godność, którą tylko bardzo zasłużonym i wysoko wykształconym przyznawano. Najulubieńszą dla niego nauką była historia; badał przeszłość Rzymian, na ich wzorach kształcił się, tworząc sobie w myśli plany, według których pragnął ujrzeć w kraju rozmaite ulepszenia. Ze doskonale poznał historią Rzymu, najlepszym tego dowodem, iż napisał dzieło pod tytułem „*de Senato Romano*”, (o senacie rzymskim). Dzieło to było napisane tak doskonałą łaciną i z taką znajomością ustroju wielkiego niegdyś państwa, że długi czas przypisywano je nauczycielowi Jana, profesorowi Sygoniuszowi.

Zamoyski, kreśląc to dzieło, miał na myśli kraj swój i swoje własne społeczeństwo, do którego chciał wprowadzić sprężystość, ład i porządek, a zarazem drobniejszą szlachtę powołać do życia politycznego. To jest, pragnął, żeby na wzór

rzymski każdy obywatel kraju miał prawo głosowania w sprawach rzeczypospolitej. Pomyśl to był świetny, lecz chcąc go przeprowadzić, trzeba było przedewszystkiem ową szlachtę, umiejącą tylko orać zagon, a w razie potrzeby iść na nieprzyjaciela, nauczyć, że oprócz roli i szabli kraj potrzebuje jeszcze jej rady; słowem wyrobić z tych ślepo idących za cudzym głosem ludzi obywateli, którzyby wiedzieli, jakie są ich obowiązki względem posiadanej przez nich ziemi, jakie względem siebie nawzajem, władzy krajowej i samego króla.

Zadanie to było niełatwe; najzupełniejsza prostota, panująca w zaściankach, a nawet między zamożniejszą szlachtą, nie pozwalała im wychylić głowy po za granicę swojej siedziby. Każdy zaś szlachcic mawiał o sobie: „Siedzę doma, Boga chwale, zagon orzę i powinność oddaję królowi”. Jeżeli zaś ów szlachcic nie najeżdżał sąsiada, uważany był za spokojnego i cichego ziemianina, który nie mącąc nikomu spokoju zażywał go sam do syta, a nie mając żadnych wyższych pragnień, nie ciekaw był, co tam przy dworze i królu się dzieje. A jednakże była to wielka część ludności kraju, większa aniżeli panów i tej szlachty możniejszej, która mając już jakąkolwiek ogładę, ba i naukę, nie skąpo udzielaną w szkołach i akademii, sięgała po urzędy wojewódzkie.

Zamoyski, ucząc się w uniwersytecie i zwiedzając obce kraje, ciągle miał sprawę własnej ziemi na względzie; ciągle mu ów żywioł szlachecki stał na myśli, a będąc zdala od niego, rozważał, jakby go do czynu i działania powołać. Dla tego też kształcił się w wymowie, a że sztuka ta uprawiana była w owym czasie z wielkiem zamięłowaniem, Zamoyski, pracując nad nią, pracował z tą myślą, jakby najjaśniej i najzrozumiałej do owych prostaczków przemówić i podnieść ich do godności prawdziwych obywateli. To wszystko daje dowód, jak późniejszy kanclerz i hetman nabywał naukę, nie dla błyszczenia i popisywania się nią, lub wynoszenia się z nabytej wiedzy, lecz żeby przynieść pożytek krajowi. To też za powrotem młody Jan umiał sobie zjednać serca ziomków, a król Zygmunt August, dowiedziawszy się o wysoko uzdolnionym młodym staroście, powołał go na dwór swój i oddał mu archiwum koronne.

Dwudziestoletni zaledwie Jan utonął cały w owych starych dokumentach; z nich nabył wiadomości o przeszłości kraju, zapoznał się z prawami, tak korony, jak i ziem z niąłączonych, słowem nie zaniedbał nic, ażeby jak najwięcej nabyć wiedzy, którą chciał służyć rodakom. Nie zaniedbywał jednak i spraw licznych zostawionych mu przez rodzica włości i nadanego przez króla starostwa bełzkiego na Rusi. Jeździł, gospodarował, bratał się z sąsiadami, bo wiedział, że tym tylko sposobem zjedna sobie umysły owę szlachtę, na której budował przyszłość narodu. Lecz dotąd działanie jego można nazwać tylko przygotowawczem; dotąd znali go tylko ci, którzy w bliższych byli z młodym starostą stosunkach. Ogółowi daje on się poznać dopiero wtedy, gdy po śmierci Zygmunta Augusta ogłoszono elekcyą. Podał on myśl założenia konfederacyi generalnej warszawskiej, która miała na celu utrzymanie w porządku wszystkich na wybór króla przybyłych. Kto wie, czy nie pracom tym wśród ziemian, częstym z sąsiadami gawędom i publicznym mowom Zamoyskiego zawdzięczano, że ta pierwsza swobodna elekcyja odbyła się w zupełnym spokoju. A doprawdy owa drobna szlachta, przybywająca najczęściej boso na pole wyborcze, budziła obawę, czy będzie umiała mówić i czy się zachowa właściwie. Zachowa-

ła się w spokoju, żadna kłótnia ni bijatyka nie zamąciła wyborów, a nawet powołani zaczęli radzić; tylko stanowe oświadczały, że nie chcą na tronie żadnego *Agresta*, to jest Ernesta, bo on był Niemcem. Imię kandydata austriackiego trudno im było wymawiać. Wołali więc, żeby rządził Franciszek, pan *Gawęcki*, co miało znaczyć, że chcą Henryka Walezyusza, księcia Andegawęńskiego. Ów pan *Gawęcki* przypieczętował im do serca, bo zapewne myśleli, że jak nazwą, tak i osiągną łatwo się da przyswoić. Tę samą szlachtę umiał utrzymać Zamoyski w porządku po ucieczce Henryka, a co więcej utrzymał na tronie polskim przyjaciela swego, Stefana Batorego, wojewodę Siedmiogrodzkiego, z którym z czasów pobytu w Padwie serdeczne łączyły go stosunki. Gdyby Jan Zamoyski nie więcej był nie zrobił, tylko wprowadził na tron Batorego, kraj już wieleby mu zawdzięczał.

Roku 1576 Batory, chcąc mieć tego znakomitego męża przy swym boku, oddał Zamoyskiemu urząd kanclerza. Zdobycie tego urzędu było dla niego wielką sprawą, bo praca królewskiego przyjaciela ograniczy się tylko do spraw wewnętrznych kraju, rozszerzenia oświaty i wpływu na szlachtę. Mówiono o Zamoyskim, że on tylko piórem a językiem władać umie, ale gdy we wszystkich wojnach prowadzonych przez Batorego spotkano zwycięzką prawicę hetmana, przekonano się, że tak jak rozum i dłoń jego dzielnie zwyciężać potrafi. Lecz nie o zasługach jego hetmańskich dziś mówić będziemy, chcemy tylko naszym czytelnikom dać poznać Jana Zamoyskiego, jako opiekuna młodzieży, mówcę i polityka.

Założeniem akademii w dziedzicznym swoim Zamościu w 1595, dał dowód, jak mu sprawa oświaty była na sercu. A chociaż akademia ta, z powodu wielkich kosztów, jakiej wymagało jej utrzymanie, a którym nawet wielka fortuna Zamoyskich poddać nie mogła, nie rozwinęła się należycie, widzimy jednak, że wielki kanclerz koronny do każdej sprawy w kraju chciał rękę przyłożyć. Utrzymać się na takim stanowisku, jakie sobie zdobył Zamoyski własną pracą i zdolnościami, było w owym czasie nie lada sztuką.

Zamoyski pochodził z niezbyt dawnego wówczas rodu, nie miał za sobą znakomych przodków, on sam pierwszy dopiero ród swój wslawił, zazdrościli mu więc łask królewskich głosu i znaczenia na sejmach, możni panowie, którzy dotąd przewodniczyli w kraju. Prócz tego nie podobало im się, że Zamoyski opierał potęgę Rzeczypospolitej i władzy królewskiej na mało dotąd znaczącej szlachcie, powołując ją do udziału w sprawach kraju; rzucano więc tu i owdzie niechętnie przeciw kanclerzowi słówka, a rodzina Zborowskich starała mu się szkodzić, występując jawnie i odzywając się: „że ten *szaraczek* — jak nazywano hetmana — drze nosa do góry”. Tymczasem zadzierał on rzeczywiście nosa do góry, lecz tylko przeciw pysznym; ze szlachtą i tymi, którym pomódz było trzeba, był zawsze brat za brat, a jako dowód, iż chciał wszystkie stany zjednoczyć i chętnie się łączył z niższymi, jest to, że za zasługi oddane krajowi wielu do swego herbu przyjmował *) a między innymi mieszczanina geometrę Pachulskiego, za to, że piękne plany różnych budynków rysował i trzydzieści razy charakter pisma mógł zmienić. Chcąc zaś

*) Herb Zamoyskich: *Jelita*, trzy spisy w czerwonym polu, został nadany przez Władysława Łokietka Floryanowi Szaremu za męstwo i wytrwałość pod Płowcami w czasie bitwy z Krzyżakami 1331 roku.

stom zapewnić jak największy rozwój, do akademii założył w Zamościu wprowadził wykład prawa miejskiego, miasteczkom należącym do jego starostwa nadawał przywileje i starał się o rozszerzenie przemysłu. Nie zaniedbał też upiększania miast, będących w jego posiadaniu, budował kościoły, a Zamość tak pięknie ozdobił, iż nazywano go stolicą. Słusznie zaś nosił tę nazwę, bo do owego Zamościa zjeżdżało się wielu posłów zagranicznych na rozmaite narady. Żadne jednak podczas tych narad z ust Zamoyskiego nie wyszło słówko, któreby przyniosło szkodę Rzeczypospolitej. Szanowali go też i ościenni monarchowie, chcieli obsypywać tytułami i godnościami, lecz odznaczeń tych wielki hetman nie przyjął, utrzymując, iż najpiękniejszą godnością i tytułem jest miano obywatela kraju. Zarzucają mu również, iż powołaniem szlachty do wyboru króla rozzuchwiał część narodu, stojącą dotąd na uboczu; że szlachta przypuszczana do obrad zrywała później sejmy i osłabiła władzę królewską; nikt jednak nie zwrócił na to uwagi, że gdyby po kanclerzu był godny jego następcą, umiałby utrzymać z pewnością ten żywioł nieokrzesany, kształcił go i wyrabiał na takich obywateli, o jakich marzył Zamoyski, wtedy jeszcze, gdy w Padwie rozpatrywał ustrój rzymskiej rzeczypospolitej.

Jak pragnął on uczynić kraj swój szczęśliwym, najlepszym jest tego dowodem, że na sejmie roku 1603 nie wahał się Zygmuntovi III Wazie gorzkich robić wymówek za niedotrzymanie Paktów Konwentów. Wtedy to rzekł, nie obwijając w bawełnę: „Jeżeli się wasza królewska mość nie opatrzysz i nie poprawisz, to idąc obyczajem przodków naszych, odbierzemy koronę i odwieziemy za morze”. Było to na ową chwilę zbyt śmiałe wystąpienie, zwłaszcza, że inni, nie rozumiejąc myśli Zamoyskiego, pozwalali sobie zbyt często występować przeciw królowi. Wystąpienie to może być policzone kanclerzowi za jedyny krok niepolityczny, tém więcej, że słysząc z pięknej wymowy, mógł on myśl swoją inaczej wyrazić i dać nią wzór spokojnego odzywania się na sejmach.

Z najpiękniejszych mów jego w języku łacińskim słynna jest *Mowa miana do króla Henryka podczas poselstwa we Francyi*, oraz akcje sądowe przeciw Krzysztofowi Zborowskiemu, znane pod imieniem Rzeczyckiego. Prócz tego dyktował on pamiętniki przebytych wojen, komentarze do wielu wypadków, lecz to wszystko nadworny jego sekretarz Hejdensztejn połączył ze swojemi pracami. Myśl jednak kanclerza w nich tkwiła, a mowy i owe znakomite dzieło o Senacie rzymskim daje prawo, żebyśmy Zamoyskiego wspominali nie tylko jako hetmana i kanclerza, lecz jako wsławionego w piśmiennictwie męża. Jan Zamoyski umarł w Szarogrodzie 15 Listopada r. 1613, zostawiając jedynego dziesięcioletniego syna pod opieką matki, czwartej swęj żony *) Barbary z Tarnowskich, która jednak wkrótce także umarła. Młody Tomasz garnął się do nauki, nie zrównał jednak ojcu w zasługach, bo nie każdemu dano być *zawsze wielkim*, lecz czcząc imię wielkiego rodzica, był on zacnym i miłym kraj obywatelem.

ZŁOTO, KADZIDŁO I MYRRA.

przez SYROKOMŁĘ.

Gdy niedostatki nas gnioł,
Gdy zbytki zgubić nas mogą,
Chryste, zrodzony ubogo,
Ty pobłogosław nam złoto!
Gdzie biedak ginie bez chleba,
Gdzie jęczą w łachmanach chorzy,
Tam złota wiele potrzeba,
Tam niech się złoto przysporzy.
Kiedy występku ohyda
Ma złota ile zamarzy,
Królu, potomku Dawida!
Daj go na chleb dla nędzarzy.
Gdzie nie masz pola do pracy,
Gdzie wątłe siły żywota,
Błagamy jako żebracy:
Daj złota, Boże! daj złota!

* * *

Kadzidło — to symbol chwały,
Należy tylko Jehowie,
A przecież w człowieczej głowie,
Dymy aromat rozlały.
Bogactwo, wziętość lub władza
Piętno zatarły w nas Boże,
A dym kadzidła przeszkadza.
Że człek być człkiem nie może.
Złącz nas w braterskie ogniwo,
O Chryste! o Boże z nieba!
Daj nam zasługę prawdziwą,
Którą kadzideł nie trzeba!
Gdy piekiel pycha obrzydła
Z tobą się mierzy zuchwale,
Przeżegnaj garstkę kadzidła,
Niech służy ku Twojej chwale!

* * *

Myrra — to symbol cierpienia,
W niej pobłogosław lzy nasze!
Gdy cierń nam serce opasze,
Niechaj się wiara nie zmienia.
Niechaj nadzieja pokrzepi,
Niech miłość wskrzesi nadzieję,
Że jutro będzie nam lepij,
Że się nam słońce zaśmieje.
Ośmiel nas — że mamy prawo,
Zaufać Tobie, jak ojcu!
I Tyś w Oliwnym ogróju
Pocił się łzawo i krwawo.
Gdy cierpień wpiją się miecze,
Gdy pęka serce sieroce,
Chryste! zboląły człowiecze!
Błogosław myrry owoce!

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę Reginki.

(Dalszy ciąg).

Na dzień przed odjazdem państwa B. do Wirówki, gdy Zygmunt odprowadził rodziców, udających się wcześniej trochę niż zwykle na spoczynek, ojciec przytrzymał go za rękę, gdy mu syn mówił „dobranoc” i rzekł:

— Zostań jeszcze, mój synu, mamy z tobą trochę do pomówienia.

*) Pierwsza żona hetmana była Anna Ossolińska, chorążanka lubelska; druga Krystyna Radziwiłłówna, córka Mikołaja Czarne-go; trzecia Gryzelda Batorówna, synowica króla Stefana a córka Krzysztofa, panującego w Siedmiogrodzie.

Pan Zygmunt postawił świecę na stole, widoczném jednak było, że do téj rozmowy niewiele miał chęci.

— Siadaj tu przy mnie — rzekła matka — bo weźmiemy cię na egzamin, musisz nam wszystko powiedzieć szczerze i otwarcie, o co pytać będziemy.

— Czy zasiadam jako winny? — spytał pan Zygmunt z uśmiechem, chcąc żartobliwym tonem rozmowę uczynić mniej poważną, bo po części domyślał się, o co rodzice pytać będą.

— Jako winny tajemienia czegoś przed rodzicami — powiedział ojciec, nakładając sobie ulubioną fajeczkę.

— Tak, mój synu, widzimy to nie od dzisiaj, że masz jakieś zmartwienie, a my starzy nic o tém nie wiemy. A przecie nigdy nie miałeś przed nami sekretów, dla czego dziś jest inaczej?

— Moje dziecko — rzekła matka, biorąc obie jego ręce i patrząc mu w oczy, jak czyniła wtedy, gdy syn ten był jeszcze małym chłopięciem, i miał się przyznać do wyrządzonej jakiejś niewinnej zwykle psoty — tak, moje dziecko, musisz nam dziś powiedzieć wszystko, dla czego jesteś tak zmieniony, chociaż tego okazać nie chcesz. Ale przed oczami rodziców, mój synu, nie ukryje się troska dzieci, kochające oko matki dostrzeże smutku choć najtroskliwiej ukrywanego. Ty masz jakieś zmartwienie ciężkie, które taisz, ale dziś nie puścimy cię, aż nam wszystko opowiesz. Uczynisz to, Zygmunsiu, prawda? — dodała proszącym głosem staruszka, bo już w bardzo podeszłym wieku była matka Zygmunta.

— Ależ, moja droga matko, chyba muszę wymyślić jakie zmartwienie, bo rzeczywistego nie mam — mówił wesołym jeszcze głosem, — daremnie się kochani rodzice trwożą i niepokoją nie mi nie zagraża dotychczas.

— Nie mówisz prawdy, mój chłopcze — rzekł ojciec, wdmuchując w kację fajkę i nakładając na nowo. — Może to się utaić przed młodem okiem żony, ale nie przed doświadczonym wzrokiem rodziców.

Zygmunt westchnął zeicha, to młode oko żony dawno już przeniknęło jego wewnętrzny smutek, który tak starannie taił przed wszystkimi. Ale teraz widział, że musi przyznać się rodzicom do trosk swoich, o których tak ciężko mu było mówić nawet przed nimi. Miłość głęboka ku rodzicom i żonie zamykała mu usta, nie chciał ich martwić smutnem swém położeniem, nie chciał im zatruwać spokoju, bo wiedział, że na to poradzić nie mogą.

Jakim jednak sposobem człowiek tak rządny, gospodarny, człowiek nie lubiący tracić na zbytki, znalazł się w tak krytycznem położeniu? Nie trudna na to odpowiedź: położenie powoli stawało się coraz gorsze, a jedna pożyczka na wysoki procent pociągała za sobą inne, i tak obciążał się majątek nieznacznie okropnemi długami. Przypadkiem jednego roku chybił urodzaj, drugiego był pomór na bydło, innego znów grad wybił najpiękniejszą pszenicę; były to więc klęski wielkie, których znaczenie ukrywał p. Zygmunt przed rodzicami i żoną. Było w tém i duma szlachetnej dużo, wiedział bowiem, że gdyby o położeniu jego dowiedział się doktor Z. byłby pośpieszył mu z pomocą, bo był człowiekiem bogatym i zacnym, ale na samą myśl pomocy od męża Reginki, na czoło jego występował rumieniec, i wołał sam do siebie: „Nie, nigdy od niego!” Pamiętał dobrze słowa siostry swój żony, które mówiła niegdyś: „Nigdy i za nic nie narzuciłabym najlepszemu, najzaczniejszemu człowiekowi wychowania i utrzymywania mej rodziny, to duma moja, i téj nie złożę na ofiarę nikomu”. a dziś on miałby narzucać mu swe interesa, miałby go prosić o pomoc i uczynić to, czego ta kobieta uczynić nie chciała, mimo, że pracowała ciężko i życie jej w trudnych upływało warunkach.

Nie mógł udawać się do nich i dla tego, że lękał się, aby kto nie przypuścił choć na chwilę, że przyczyną jego upadku majątkowego była żona wzięta bez posagu. A może jego rodzice, mimo swój dobroci, mimo wielkiego przywiązania, jakie mieli dla synowej, możeby nie wstrzymali się od wymówki, że sam sobie ten los zgotował, nie mając na nieprzewidzianą złą godzinę zapasowego grosza. To wszystko za-

mykało mu usta, pracował, zapobiegał, w jednem miejscu pożyczka, w drugiem oddawał, ale przyszła chwila, że i pożyczka stawała się trudniejszą. To go gnębiło, martwiło, i chociaż starał się ukryć to w sobie, kochające serca odgadły tajon smutek.

Gdy więc ojciec usiadł na fotelu, zapaliwszy swą fajeczkę i powtórzył pytanie o przyczynę widocznego niepokoju i troski, malującej się na twarzy syna, p. Zygmunt przestał się uśmiechać i poważnym rzekł głosem:

— Istotnie, mój ojcze, mam trochę kłopotu pieniężnego do téj pory dawałem sobie jakoś radę, ale teraz jestem w położeniu bardzo krytycznem.

— Czy aby broń Boże nie masz długu? — zawołał z przestachem matka — Zygmunsiu, powiedz, czy jesteś do kogo winien?

— Niestety, kochana mamó, mam dość znaczne nawet długie, których nie mam sposobu spłacić, a szczególnie jeden jest bardzo naglący, wierzyciel grozi mi zlicytowaniem majątku.

— Boże mój! — zawołała pani B., załamując ręce — biedny mój synu, co poczniesz teraz!

— Nie wiem, daremnie szukam sposobu, aby wybrnąć z tego kłopotu, ale wszelkie moje usiłowania są daremne.

— Jakaż to suma jest tak nagląca? — zapytał ojciec stawiając zgasłą fajkę przy ścianie.

— Dosyć znaczna, mój ojcze, idzie tu o dwanaście tysięcy rubli — odpowiedział z przygnębieniem.

— Dwanaście tysięcy rubli! — wykrzyknęła matka — moje dziecko, zkadże ty weźmiesz tyle pieniędzy? Towarzystwo zaciągnięte, lasu przez te lat kilkanaście także już części sprzedajesz; więc co teraz zrobisz, biedaku? Ach, gdybyś był wziął posag za żoną...

— Niema dziś o czém mówić, moja droga — rzekł upominającym głosem pan B. — zresztą Kamilka nie przyczyniła się niczém do tego nieszczęśliwego położenia. Kamilka jest wzorową gospodynią, żoną i matką, zarzucić jej nic nie można, a brak posagu jest bez wagi na szali przymiotów naszej synowej.

Pan Zygmunt pochylił się do ręki ojcowskiej, a całując ją rzekł:

— Dziękuję ci, ojcze, za te słowa, ja nigdy ani na jedną chwilę nie pożałowałem mego wyboru; żona moja bez posagu jest bogatszą od wielu krociowych panien.

— Ach, mój Zygmunsiu, nie bierz mi za złe tych słów wymówionych niebacznie — rzekła matka — ty wiesz, jak kocham Kamilkę; ale niepokój mój o ciebie zawładnął mną tak dalece, iż nie wiedziałam prawie co mówię. Gdybyśmy mogli ci pomóc, nie martwiłabym się ani na chwilę, ale ty wiesz, że zięć nasz, objawszy Wirówkę, płaci nam tylko dożywotni procent.

— I im nieosobliwie idzie — rzekł ojciec Zygmunta — długów wprawdzie nie mają, ale ledwie brzeg z brzegiem wiążą, a tu wydatki się mnożą, sami chłopcy w szkołach kosztują ich przeszło tysiąc rubli.

— Czy te dwanaście tysięcy, to już cały twój dług, moje dziecko? — badała matka — czy też masz jeszcze więcej?

— Mam jeszcze w drobniejszych sumach dziesięć tysięcy rubli — dodał cichym głosem p. Zygmunt — ale tamte pieniądze nie są pilne i nie na tak wysoki procent, jak te dwanaście tysięcy. Jeżeli tych pieniędzy nie oddam jeszcze z rok, zgine bez żadnego ratunku.

— A czybyś nie mógł pożyczyć od szwagra Kamilki? — zapytała matka.

— Nigdy! nigdy, matko moja, nie powiedziałbym tego nikomu z rodziny mej żony — odrzekł z ożywieniem — Kamilka czułaby się tém upokorzona, a i siostrze jej byłoby to przykro pewnie.

— Cóż więc zrobić zanajęszas? — zapytał pan B., tak przygnębiony zmartwieniem ukochanego syna, że nawet pomyślał o swój ulubionej fajeczce, a tylko kręcił siwe wąsy, co zwykle czynił, gdy był czém bardzo zmartwiony:

— Myślę sprzedać część lasu — odpowiedział ze smutku



Litościwa dziewczeczka (str. 14).

— Ależ w takim razie majątek zupełnie straci na wartości — rzekł ojciec, podnosząc się z miejsca — Orlinek i tak posiada mało lasu, gdy sprzedasz kilka włók, z pozostałego nie będziesz mógł czerpać na własny nawet użytek. Gdyby przyszło kupować drzewo dla siebie i służących i sprowa-

dzać je tak daleko, byłby to wydatek bardzo uciążliwy na Orlinek.

— Cóż więc mam zrobić, mój ojcze? jestem w położeniu bez wyjścia, bo pieniędzy na spłacenie tego długu nigdzie dostać nie mogę. Jeżdżę starannie, wszystko napróżno.

każdy skarży się na ciężkie czasy, na brak kapitału, i już ani wiem, gdzie szukać ratunku.

— U żony — odezwał się głos drżący wzruszeniem i smutkiem głębokim.

Wszyscy drgnęli, spojrzeli w stronę, z kąd słowa powyższe słyszeć się dały i ujrzeli między firankami, u drzwi prowadzących do małego gabinetu, bladą twarz młodej kobiety, która oczami łez pełnymi z wyrzutem spoglądała na męża.

— Kamilko! słuchałaś całej rozmowy! — zawołał ze zmarszczonem czołem p. Zygmunt, zrywając się z miejsca i zbliżając do żony — słyszałaś więc wszystko?

— Tak, Zygmunco, słyszałam wszystko — odrzekła, a lzy głosu jej tłumili — nie podsłuchiwałam jednak umyślnie twój rozmowy z rodzicami. Wiesz — mówiła dalej postępując na środek pokoju — że od południa cierpiałam mocno na ból głowy, a ponieważ w pokoju sypialnym było zbyt gorąco i gwar dzieci drażnił mnie mocno, położyłam się więc trochę w gabinecie na kanapie i zasnęłam. Wejście rodziców zbudziło mnie, chciałam się zaraz podnieść i wyjść, ale tak mi było trudno wstać, nie myślałam ani na chwilę, że jest w tym co nagannego, jeszcze chwil kilka pragnęłam wypocząć. Gdy jednak zaczęła się rozmowa powyższa, żadna siła nie byłaby mi ztamtąd oderwała, i chyba nikt mi tego za złe wziąć nie może. Jestem twoją żoną, Zygmunco, między nami wszystko powinno być wspólne, a ty postępowałeś ze mną, jak z rozpieszczonem dzieckiem.

Ży, powstrzymywane siłą woli, płynęły teraz cicho po jej bladym licu, spuściła załamane ręce i stała, jak posąg boleści.

Pan Zygmunt uczuł się winnym, skarga żony zabolęła go, ujął jej rękę i rzekł:

— Chciałem ci oszczędzić zmartwienia, Kamilko.

— Nie wiedziałeś o tem, że martwiłam się więcej, nie wiedząc przyczyny twego tajonego smutku, który oddawna spostrzegłam. Bogu niech będą dzięki, że dowiedziałam się nareszcie prawdy, i że to tylko o rzecz tak małą chodzi.

— O rzecz małą, Kamilko? — zapytała pani B. zbliżając się do synowej — ty to nazywasz rzeczą małą? chyba nie słyszałaś dobrze, że tu idzie o dwanaście tysięcy rubli.

— Słyszałam, proszę mamy — rzekła spokojnie. Coby się jednak było stało, gdybym nie była słyszała!

— Alboż co na to poradzisz, moje dziecko? — zapytał sędziwy pan B., oglądając się mimowoli za fajką, bez której długo obejść się nigdy nie mógł — będziesz się martwić, a tym sposobem i Zygmuntowi przybędzie zmartwienia.

— Poradzę na to, mój ojcie — mówiła uspokojona już nieco, i z uśmiechem spojrzała na męża. — O! Zygmunco, czyż myślałam choć chwilę, zbierając pieniądze, że one mi tyle szczęścia przyniosą, dając możność wyratowania cię z kłopotu i zmartwienia.

— Ty masz pieniądze, Kamilko? — zapytał zdziwiony p. Zygmunt — ty masz tyle pieniędzy? ależ ty chyba... i urwał nagle, nie chcąc wypowiedzieć myśli swęj przykręj.

— Chciałeś powiedzieć, że mam chyba gorączkę — rzekła z uśmiechem — nie, Zygmunco, jestem przytomna i zdrowa na umyśle, i raz jeszcze powtórzę, że mam potrzebne ci pieniądze.

(d. c. n.)

Litościwa dziewczeczka.

Ptaszki, a nawet i zwierzęta leśne łagodniejszej natury, łatwo bardzo osławiają się z ludźmi, którzy im krzywdy nie czynią, lecz przeciwnie obdarzą czasem pożywieniem. Zima najspokojniejszą jest porą do zawierania przyjaznych stosunków ze światem zwierzęcym, gdyż wówczas głód panuje po lasach i polach.

Rysunek nasz przedstawia młodą dziewczeczkę, karmiącą sarenki leśne, które z całą ufnością do niej się zbliżają; tuż obok gromadka ptasząt zbiera ziarno, hojną jej rączką rozsypane. Sielankowy ten obrazek nie koniecznie jest zmyślony, sarenki, zapędzone głodem w pobliże mieszkań ludzkich, mogły w rzeczy samej zapoznać się z dziewczeczką, jeśli je obdarzyła smaczną wiązeczką siana i potem przychodzić do niej raz po raz po żywność.

Co do ptasząt, z temi najłatwiej zaprzyjaźnić się może każdy, byle tylko pożywił je trochę w zimie. Młodzież w mieście i na wsi powinna to sobie za obowiązek uważać; tak mało na to potrzeba, aby dostarczyć jadła zgłodniałym ptaszętom, gdyby tylko kto chciał zbierać skrzętnie wszystkie drobne okruszyny, które nawet przy największej oszczędności znajdują się zawsze na stole jadalnym po śniadaniu, obiedzie, wieczery. Dostyc jest parę razy wyprawic ucztę ptaszętom, a z pewnością coraz liczniej zbierać się będą przy okienku, gdzie dobroczynna ręka im się ukazała.

Teraz już w całym cywilizowanym świecie przestano tępić ptaszki, takie nawet, które zjadają ziarno w polu i w śpichrach, bo przekonano się, że one zawsze więcej pożytku przynoszą, niż straty, gdyż niszczą owady, dla roślinności szkodliwe. To też ptaszęta rozumiały to i zaczynają coraz liczniej i śmieliej sadowić się obok mieszkań ludzkich, a po miastach mnóstwo ich zimą przebywa. Mówimy tu rozumie się o tych, które nie odlatują na zimę do cieplejszych krajów, a pomiędzy niemi prym trzyma pocziwy nasz wróbelek.

Ma on co prawda i wady swoje, prawdziwy to rabuś na zboże; gdy stada wróbli wnęca się do śpichrza, gospodarz rad nie rad musi z niemi wojnę toczyć, bo strasznie to są żądłoczne stworzenia. Nieraz też spadają gromadami na rolę świeżo zasianą i wybierają w najlepsze ziarna z ziemi. Trafiają one zawsze i na dziedzińce folwarczny, gdy dla drobiu sypią pożywienie, chwytają co mogą, bo nie mają najmniejszego wyobrażenia o prawach własności.

Na wschodzie wszędzie mieszkańcy mają wielkie poszanowanie dla ptaków, które są tak roztropne, że doskonale to rozumieją, i wcale nie obawiają się ludzi. W Konstantynopolu naprzykład, jak opowiadają podróżnicy, wszędzie po ulicach napotkać można ptactwo, śmiało zbliżające się do przechodniów, świegocące, latające ponad ich głowami. Na wielu domach są urządzone małe galeryjki, umyślnie dla ptaszków, które znajdują tam obfitość ziarna i wodę ustawioną w naczyniach.

W Paryżu, według obliczenia pewnego przyrodnika, przebywa trzy razy więcej wróbli, aniżeli ludzi, a ileż tam oprócz tego żyje gołębi i innych ptaków; trzeba wiedzieć, że przeszło pięćdziesiąt gatunków rozmaitego ptactwa zalicza się do stałych mieszkańców nadsekwanijskiej stolicy. Często w ogrodzie publicznym Tuileries widzieć można ludzi, karmiących skrzydlatą rzeszę, a niektórzy z nich uchodzą za czarowników pomiędzy pospółstwem. Czarownicy ci są to poprostu ludzie pocziwi, mający współczucie dla każdego stworzenia, a ptaki odgadują to instynktem i ujrawszy takiego przyjaciela swojego, wnet zlatują się gromadami, siadają mu na głowie, na ramionach, z ust jego dzióbkami chwytają pożywienie.

Amerykanie, którzy wcale nie są ludźmi sielankowego usposobienia, starają się jednak zwabić ptaszęta do swoich miast; w Nowym Yorku w ogrodach publicznych urządzą dla nich gniazda ze słomy i teraz wróbelki rozmnażają się tam coraz więcej.

I u nas w Warszawie nie brak ptasząt, w ogrodzie Saskim ich pełno, a i na podwórkach wszędzie snują się liczne gromadkami. Nie zapominajcie o nich, a obaczycie, jaka to przyjemność przywabić te płochliwe istoty, pozyskać ich ufność i przyjaźń.

ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a**.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce stanął na wierzchołku wyniosłego wzgórza, ujrzał u stóp swoich rozciągającą się rozległą nizinę, a dalej, dalej, jak okiem zajrzeć, widniało morze, nakszałt ogromnej zwierciadlanej płaszczyzny i na samym krańcu widnokregu sine fale oceanu zlewały się z bladym błękitem nieba... Widok ten rozproszył w jednej chwili smutne myśli młodego wędrowca i rozstrzygnął jego wątpliwości. Po raz pierwszy w życiu miał on przed oczyma ocean i w tej chwili uczuł, że żadna moc ludzka nie zdoła go od niego oderwać. Ten bezmierny obszar wód, mieniących się i błyszczących w promieniach słonecznych, wprawił go w zachwycenie i opanował na zawsze jego duszę. Wyobrażenia przedstawiała mu w mglistym oddaleniu białe minarety, zielone palm warkocze, wybrzeża ładów nieznanych, dziwaczne postaci ludzi w strojach jaskrawych. Zapomniał o znudzeniu i przyspieszył kroku, aby coby prędzej dostać się do portu, który miał mu otworzyć wstęp do tych wszystkich cudów.

Henryk Chester zbliżał się już do bram miasta Portsmouth, gdy ujrzał tuż przy drodze wspaniałą rezydencją, otoczoną cienistym parkiem. Zapytał przechodnia, do kogo należy ta piękna posiadłość? Możecie sobie wyobrazić zachwycenie młodzieńca, gdy mu odpowiedziano, że to jest Horndean, rezydencja sir Karola Napier'a, jednego z najznakomitszych admirałów marynarki angielskiej. Tym razem wróżba była szczęśliwa i Henryk powiedział sobie w duszy:

— Czemużbym i ja nie miał kiedyś zostać admirałem? — i mówiąc to, lekką stopą wszedł na przedmieście Portsmouth'u.

II.

Sztandar gwiazdysty.

Zegary na wieżach biły dziewiątą godzinę, gdy Henryk Chester wchodził na ulicę słynnego portowego miasta. Nie tracąc ani chwili czasu, pośpieszył wprost do dzielnicy, gdzie mógł oglądać nakoniec wymarzone okręty, to jest do portu, o który zapytał pierwszego napotkanego przechodnia.

Wkrótce też wszedł na długą ulicę, w prostym kierunku bieżącą i ujrzał przed sobą w oddali las masztów, zdobnych w sploty lin i fałdy zwiniętych żagli. Nigdy jeszcze młody nasz wędrowiec nie widział w rzeczywistości statków, które znał tylko z rysunków lub w wyobraźni sobie przedstawiał. A teraz miał naprawdę przed oczyma i widział na jawie te wspaniałe okręty, które mu się tyle razy ukazywały we śnie i to nie dwa, nie dziesięć, nie sto, lecz z tysiąc najmniej, rozmaitych rozmiarów i kształtów. Najokazalsze, pomalowane na czarno, otoczone mnóstwem łodzi, zwróciły najpierw jego uwagę. Powiedziano mu, że to były statki wojenne, więc przestał się nimi zajmować, ponieważ miał zamiar dostać się na okręt handlowy. Najpierw w marynarce wojennej w Anglii trudno jest niezmiernie o awans, prosty majtek nigdy prawie nie może się dosłużyć stopnia oficera, powtóre nasz Henryk nie miał najmniejszej ochoty kępować swobody swojej uciążliwą dyscypliną wojskową, strzedz portów i ufortyfikowanych pozycji. On pragnął odbywać dalekie podróże, oglądać różne części świata, a cel ten mógł osiągnąć jedynie, szukając pomieszczenia na okręcie handlowym, który coraz nowe zwiedza okolice. Nadzieja zostania admirałem, która mu się uśmiechnęła na chwilę, gdy przechodził obok mieszkania sir Karola Napier'a, ustąpiła innym marzeniom. Henryk zaczął myśleć, że szczytem szczęścia dla niego byłoby dostać się na statek wielorybiczny, zapytał więc przechodnia, którego napotkał w bliskości portu, czy dużo statków podo-

bnych znajdowało się obecnie w Portsmouth? Odpowiedział mu na to pogardliwym uśmiechem i niezbyt uprzejmą uwagą:

— Czy w lesie wychowałeś się, mój chłopcze, że pytasz o statki wielorybiczne w porcie tutejszym?... Musiałbyś powędrować o paręset mil na północ, ażeby się z niemi obaczyć...

Zawstydzony nieco nieświadomością swoją, Henryk zapytał już tylko nieśmiało, w której części przystani zarzucają zwykłe kotwice statki handlowe i natychmiast w tę stronę podążył. Ruch wielki panował na wybrzeżu, gwaro było szczególnie pośród składów, gdzie znoszono rozliczne przedmioty. Młodzieniec co krok napotykał tragarzy, obładowanych ciężarami, które znosili z okrętów, lub zanosili na nie; widział statki, przybywające do portu i zarzucające kotwice, inne znów, rozwijające żagle i gotujące się do podróży. Do tych ostatnich zbieg nasz skierował swe kroki, ciągle mając na myśli, by jaknajspieszniej zabezpieczyć się od pogoni.

Zbierając tedy całą odwagę, wszedł po chwiejącej się desce na pomost jednego z takich statków i zapytał o kapitana. Wskazano mu tego dostojnika, stojącego właśnie w tej chwili na pomoście. Henryk zbliżył się do niego z czapeczką w ręku i rzekł nieśmiało, starając się przybrać postawę uprzejmą i pełną uszanowania:

— Przechodzę zapytać, panie kapitanie, czy nie potrzebuje pan chłopca okrętowego i czy nie mógłbym zająć tego miejsca...

Stary marynarz zmierzył natręta wzrokiem surowym i odrzekł sucho:

— Niema tu żadnego miejsca na moim okręcie.

A gdy Henryk zegnał go ukłonem, dodał:

— Gdybym zresztą i potrzebował chłopca okrętowego, tobym pewnie nie wziął do tego poganiacza od pług.

Była to złośliwa przymówka do wieśniaczego ubioru młodzieńca. Henryk zaczerwienił się po same uszy i odszedł zawstydzony. Nie chciał jednak tak prędko dać za wygraną i zwrócił się do innych statków; wszędzie go zbywano w sposób podobny, niedość, że odmawiano, lecz jeszcze szydzono z niego.

— Nie potrzebujemy pastuchów na okręcie — odpowiadał jeden.

— Wracaj do mamusi, smarkaczu — mówił drugi.

— A pójdziesz mi ztąd, włóczęgo!... — wołał trzeci mniej cierpliwy.

Henryk nie zrażał się jednak i chodził wytrwale od okrętu do okrętu, wszystko nadaremnie. Zabrało mu to ze sześć godzin czasu, w końcu przekonał się ze smutkiem, że na żadnym z odpływających statków nie było miejsca dla niego, wszędzie go odprowadzono z kwitkiem.

Oczywiście chłopak omylił się sądząc, że byle tylko dostał się do portu, to już z łatwością marynarzem zostanie. Nie wiedział o tem, że w innym kraju byłoby jeszcze daleko gorzej; w portach angielskich wszystko zależy od dobrej woli kapitana i właściciela okrętu, nie wymagają tam żadnych formalności; ale we Francji naprzykład, gdy małoletni chce się zaciągnąć do załogi okrętowej, musi przedewszystkiem przedstawić pozwolenie rodziców, poświadczone przez władzę urzędową. Inaczej byłby uważany za włóczęgę, oddany w ręce policyi i smrotnie odprowadzony do domu. Los podobny byłby też niezawodnie spotkał Henryka w każdym porcie stałego ładu, w Anglii tylko mogło mu się udać takie szalone przedsięwzięcie.

Napotkał jednak przeszkody innego rodzaju: nie chciano uwierzyć w zdolności jego do marynarki. W ciągu kilkunastu godzin usposobienie jego zmieniło się całkowicie; o dziewiątej z rana był pełen zapału, ożywiony najświetniejszymi nadziejami, o piątej po południu upadł zupełnie na duchu. Czuł się głęboko upokorzonym, już nawet przemyślał nad tem zaczynał, czy nie lepiej byłoby wyrzec się niefortunnego zamiaru i powrócić do domu... W tym czasie wzrok jego zatrzymał się na pięknej fładze w... pasy, którą widział po raz pierwszy. Fl... tylnym pokła-

nie dość okazałego statku, za godło miała gwiazdy złote błękitnym polu. Henryk przechodził już kilka razy w bliskości tego okrętu i odczytał był jego nazwę „Kalypso”, lecz spostrzegłszy flagę cudzoziemską, nie miał ochoty wstępować na pokład. Jeżeli rodacy odpychali go jednoznacznie, czyż mógł liczyć na dobre przyjęcie u obcych? Przez ciekawość jednakże zapytał przechodnia, co to za flaga i dowiedział się, że gwiazdy są herbem Stanów Zjednoczonych amerykańskich. Po namyśle, powiedział sobie, iż Yankesy nie powinni być przez Anglików uważani za cudzoziemców, bo przecież są tegoż samego pochodzenia i mówią tym samym językiem, postanowił więc po raz ostatni poprobać szczęścia na tym amerykańskim okręcie.

— Jeśli mnie i tu z kwitkiem odprawią — mówił sam do siebie — korona mi z głowy nie spadnie, a przynajmniej nie będę sobie miał nic do wyrzucenia i wtenczas muszę powziąć jakieś ostateczne postanowienie, to jest... obawiam się, że mi już nic innego nie pozostanie, tylko wrócić do domu...

Po chwili wkroczył odważnie na deskę, prowadzącą na pokład okrętu Kalypso i po raz trzydziesty już może powtórzył pytanie:

— Czy nie mógłbym się widzieć z kapitanem?

— Niema go w tej chwili na okręcie — odpowiedział przejmie młody chłopak, niestarszy od Henryka, stojący przy burcie — a czego pan sobie życzysz? możebym ja mógł ci interes załatwić.

Mówił to w sposób bardzo życzliwy i zachęcający do dalszej rozmowy, lecz wyglądał tak młodo, że trudno było wiele z niego liczyć. A jednak, i w tonie, i w całym obejściu tego młodzieńca znać było pewność siebie; miał na sobie strój marynarski, trochę za wykwitny na prostego majtka, koszulę leniutkiego płótna z guzikami złotymi u mankietów, krawat z Panama na głowie, a rysy jego twarzy odznaczały się czystym szlachetnością i inteligencyją. Wszystko to nie uszło Henryka i dodało mu otuchy, wyjaśnił więc w kilku słowach, o co mu idzie.

— Żałuję mocno, że nie mogę dać panu stanowczej odpowiedzi — rzekł młody marynarz — nie mam prawa rozporządzać w podobnej sprawie. Kapitan poszedł do zarządu okrętu, lecz nadejdzie pewnie niezadługo. Zastaniesz go pan za godzinę, a w każdym razie jutro rano nie wyjdzie z okrętu przed południem.

Henryk Chester, jakkolwiek wieśniak, znał się na grze i rozumiał, że doznawszy tak uprzejmego przyjęcia, należało naprzykrzać się dłużej, skłonił się więc i odszedł. Kiedy jednak znowu w serce jego wstąpiła, nie wątpił prawie, że na statku było miejsce niezajęte, bo inaczej, pocóżby ten wieśniak zachęcał go do powrotu? A jeśli było miejsce, iżby on go nie miał zająć?

W tej chwili głos szydarczy przerwał te piękne marzenia; ten ozwał się z pośród gromadki chłopców obdartusów, którzy widocznie do rzędu owych włóczęgów ulicznych, którzy w miastach nadmorskich nazywają „szczurami porcie”, bo wciskają się ustawicznie do składów ładunków okrętowych.

— Patrzcie, jak nos spuścił na kwintę! — wołał jeden z chłopaków, wskazując Henryka — taki niedołęga do by okrętowej! a toż zupełnie, jak wół do karety. Idzie trzodę na wsi, a nie uwijać się po masztach!... Każdy z tych złośliwych żartów wywoływał głośnie wybuch śmiechu, a biedny Henryk zaczerwienił się po same uszy. W pierwszej chwili chciał się rzucić na zuchwalca, lecz zasta-

nowił się i przyznał nawet w duszy, że w tym szyderstwie było trochę prawdy. Zamiast gniewać się, należało raczej skorzystać z nauczki.

(d. c. n.).

Proza i poezya.

(Alinka dla Helci R. w Krakowie).

Ej! lepiej być trawką w wiośnie, motyli pieszczotą, niż kłosem, gdy ociężę, wyrośnie, ku ziemi się żałośnie schyli.

Lepsza młodość i skory śmiech, choć treści w nim niemasz, niż suche, mądre rozhowy póżniejszej pory wieku z boleścią westchnieniem.

Z tego ustępu ułożyć dwie strofki pięciowerszowe.

Krzyż z podstawą (Wiochna).

	1	
	15	21
	22	24
25		29
30		36
37	14	47

Od 1 — 14 Miasto w Europie, od 15 — 21 Ptasek, od 22 — 24 Ptasek, od 25 — 29 Roślina ogrodowa, od 30 — 36 Taniec, od 37 — 47 Cnota, bardzo każdemu człowiekowi potrzebna.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

Łamigłówki głoskowe:

Spojrzy się Marya — skowronek zawisnął
I tak nad Panem zabolął niezmiernie,
Ze chciał Mu odjąć choćby jedno ciernie;
Więc pótý dzióbkiem i dziobał i dziobał,
Az cierń Korony Najświętszej oskubał.

(Z gawędy Pana „Pacholę na grzybach”).

Łamigłówki liczbowej:

Juliusz Słowacki — Cal — Walc — Wał — Sowa — Sza — Lis — Lak — Łuk — Liw — Wisła — Kłos.

ŚĆ: Sławni w piśmiennictwie (z literą) p. Z. Morawski. — Złoto, kadzidło i myrra, wiersz p. Syrokomle. — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.). — Liteściwa dziewczeczka, (z drzew.) — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie p. Mayne-Reid'a. — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Pustota Micia (z drzew.) — Zuchwały Staś p. Annę Obarską. — Mądry Polak po szkodzie. — Przygody nieposłusznej Adelci, p. L. T. — Łamigłówka, rozwiązanie / Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach, z francuskiego.

PUSTOTA MICIA.

Micio od wakacyj dopiero zaczął do szkół chodzić, uczy się bardzo dobrze, przed świętami przyniósł wyborną cenzurkę, a rodzice bardzo się tём ucieszyli. Chociaż Micio lubił naukę, rad był jednak, że sobie troszkę odpo-

Dziewczynki także były uszczęśliwione, że mogą nacieszyć się braciszkiem, zadziwiły się jednakże, gdy Micio zaczął strasznie dokazywać i to w sposób troszkę nieprzyzwoity, co mu się dawniej nigdy nie zdarzało. Chwytał naprzykład szklankę z wodą i chcąc oblać Józię, wylał wszystką wodę na sofkę i na podłogę. Koszyczek



Pustota Micia.

cznie przez święta i pobawi się z siostrzyczkami, Józią i Bronką. W dni powszednie pilny chłopczyk zwykle tylko przy obiedzie i herbacie widywał się z niemi, bo ciągle był zajęty lekcjami. Teraz zaś nie miał nawet ochoty wychodzić, bo śłota była i błoto straszne na dworze, siedział więc prawie od rana do wieczora w pokoju siostrzyczek, kochał je bardzo i wesoło mu było z niemi.

z robotą Bronki podrzucił pod sufit i śmiał się do rozpuku, gdy drobiazgi rozsypały się po ziemi. Nakoniec, nie wiedząc już co robić z pustoty, zaczął wyskakiwać po krzesłach, deptał butami pokrycie i takiego kozła przesadził przez stół, że stanął nagle do góry nogami. Siostrzyczki aż odskoczyły przerażone, a nawet kot Kizio wysunął się z kącika, gdzie sobie drzemał spokojnie

i pyszczyk roztworzył z podziwienia, patrząc na rozhuśkanego chłopczyka.

— Co tobie się stało, Miciu? — spytała starsza siostrzyczka, Józia — taki byłeś dawniej grzeczny i przyzwoity, a teraz brykasz, jak żrebak rozswawolony. Czy to w szkołach się tego nauczyłeś?

— Zapewne że w szkołach — odrzekł Micio — kiedy w początkach wyśmiewali się ze mnie, nazywali mnie panienką; ale teraz potrafię już im dorównać. Oho! żebyście mnie zobaczyły na pauzie, wcale na pannę nie wyglądam.

— To wy tam wszyscy na tej pauzie takie kozły przewracacie? — mówiła Bronka, młodsza siostra — już ja tam nie wiem, czy to tak bardzo ładnie i mądre.

— Albo to wy rozumiecie, co chłopcom przystoi? — odparł Micio — ojciec sam mówił niedawno do mamy, słyszałem na własne uszy: Dobrze, że się nasz Micio trochę rozrusza między chłopcami; znanadto był spokojnicki w towarzystwie panienek. Oho! ja nie chcę być spokojnickim. Poczekajcie, pokażę wam sztukę gimnastyczną. Gimnastyka to bardzo zdrowa rzecz, ojciec sam to mówił.

I znowu stół przesadził jednym susem, lecz stanąwszy do góry nogami, zaczepił obcasem od buta o zegar, a ten spadł z brzękiem i hałasem na podłogę. Nie dosyć na tém: Micio przestraszony stracił równowagę, przewrócił się, jak długi na ziemię, twarzą natrafił na rozbite szkło zegaru i okropnie się okaleczył.

Matka nadbiegła z drugiego pokoju, usłyszawszy łoskot, przeraziła się bardzo, widząc Micia krwią oblanego. Na szczęście nie było żadnego niebezpieczeństwa, krew prędko się zatrzymała, mama ranę obmyła zimną wodą i zakleiła plasterkiem, ale zdziwiona była tym całym wypadkiem, bo Micio nigdy przedtém tak się nie awanturował i rzadko kiedy szkodę robił w domu. Dziewczynki opowiedziały, jak to Micio im tłómaczył, że nie chce być podobnym do panienki i spokojnickim, że gimnastyka jest zdrowa i t. d., a mama, słuchając tego, nie mogła się od śmiechu powstrzymać.

— Widzę, mój Miciu — rzekła — że jeszcze z ciebie wielkie dziecko. Bardzo to dobrze dla chłopca, gdy jest żwawy, ruchliwy, gdy nawet poswawoli trochę, ale trzeba miarę zachować we wszystkiém. Słusznie też mówiłeś siostrzyczkom, że gimnastyka zdrową jest rzeczą, sam jednak przekonałeś się, jak niewłaściwą być może w ciasnym pokoju, gdzie łatwo zaczepić o coś i szkodę wyrządzić, a samemu się okaleczyć. Wszystko potrzeba robić w porę i we wszystkiém miarę zachować, bo inaczej nawet najlepsze rzeczy mogą się stać szkodliwe.

ZUCHWAŁY STAŚ.

Ślizganie się na lodzie, to miła zabawka, Dzieci ję używają tam, gdzie jest sadzawka, Lecz czasem, choć powłoka z lodu cienka, krucha, Nie zważa na to zbyt, co udaje zucha, I bywa ukarany. Raz dzieci gromadka Stała przy sadzawce, a chociaż je gładka

Powierzchnia lodu bardzo nęciła z daleka, Żadne na lód nie poszło, bo każde z nich czeka, Aż woda doskonale już będzie zamarznięta. Grzeczne dziecię przestrogi rodziców pamięta. Między temi dziatkami stał i Stasio mały,

Śmiał się z swych towarzyszy ten chłopiec zuchwały: — Wyście bardzo lękliwi, wy jesteście tchórze, Ja, gdy stanę na lodzie, będę jak na murze; Lód jest gruby, i próżne wasze niepokoje; O! ja wcale takiego lodu się nie boję. Wejdę nań. — Nie chodź, nie chodź — mówiły mu dzieci, Ale chłopiec nie słucha, na sadzawkę leci... Wtém lód trzaska, Staś w wodzie, a strwożona dziatwa Krzyczy i chce ratować, choć to rzecz niełatwa; Wreszcie zbiegli się starsi i z zimnej kąpieli Drżącego i bladego Stasia wyciągnęli. Zuchwalstwo odchorował, gdy spojrz na wodę, Zaraz sobie wspomina swą smutną przygodę; Teraz Staś do ślizgawki gdy ochotę czuje, Najpierw grubość zamarzniętej wody wypróbuje.

Anna Obarska.

Mądry Polak po szkodzie.

Siedziałam zajęta czytaniem w pokoiku, który zamieszkuje wspólnie z moją starszą siostrą, a obok nas mała moja siostrzyczka Zosia pisała w dużych liniach podług wzoru następujące słowa: „Mądry Polak po szkodzie”.

W pokoju panuje cisza, słysząc tylko przewracanie kartek i skrzypienie pióra, aż nagle Zosia pyta:

— Co to znaczy: mądry Polak po szkodzie?

Moja siostra Kazia przybiera nauczycielską powagę i zabiera się do długiego tłómaczenia, ale przerywam ję, wołając:

— Pozwól, żebym ja ję wytłómaczyła — i zwracając się do Zosi, mówię:

— To znaczy, że... że mądry Polak po szkodzie.

— Dobrześ ję wytłómaczyła.

— Wiem, że nie. To znaczy... to znaczy... — powtarzam, ale spojrzawszy na książkę, którą właśnie w najciekawszym miejscu przestałam czytać: — później ci to wytłómaczę przy sposobności — dodałam.

Na drugi dzień była niedziela. Zosi od samego rana jakieś kaprysiki weszły do główki, nie chciała się ubierać, ani mówić pacierza, ostatnia przyszła na śniadanie, słowem taka była niegrzeczna, że Kazia, korzystając ze swego prawa nauczycielki, kazała ję klęczyć w naszym pokoju za karę i nie pozwoliła pojechać do kościoła.

Pokuta ta trwała może z pół godziny, podczas której Zosia ciągle powtarzała:

— Mamusia nam dała dobrych rzeczy na balik, Bibi i Stefcia wszystko zjedzą bezemnie.

A gdy ją uwolniono nakoniec, zaraz pobiegła do dzieciennego pokoju i ja za nią.

Dwie najmłodsze, a zarazem najwięcej pieszczone w całym domu osobki, uszczęśliwione, że Zosi niema, zjadły czempredziej wszystkie zapasy, przygotowane na

balik, i z wielkim niezadowoleniem przyjęły powrót naczelną kucharki.

Zosia bardzo oburzona niewdzięcznością siostrzyczek, które nie czekały na nią wcale, a jeszcze bardziej zmartwiona, że małe łakotnisie zjadły wszystkie przysmaki, zaczęła płakać. Korzystając z tego powiedziałam do niej:

— Pytałaś się mnie wczoraj, co znaczy „Mądry Polak po szkodzie” i chciałam ci to wytłumaczyć przy sposobności. Teraz zdarzyła się najlepsza, tylko że możnaby trochę zmienić przysłowie i powiedzieć: „Mądra Zosia po szkodzie”. Gdybyś była grzeczna, bawiłabyś się z Bibią i Stefą, Kazia nie ukarałaby cię i pewno byłabyś więcej zadowolona, niż teraz płacząc. Otóż pewno już dobrze zrozumiałaś to przysłowie? — dodałam.

— Wybornie, ale zobaczysz, że od dziś nikt nie będzie mógł powiedzieć: „Mądra Zosia po szkodzie”, bo będę mądra i przed szkodą.

Wiochna z pod Lublina.

Przygody nieposłusznej Adelci,

TMÓMACZYKA Z ANGIELSKIEGO L. T.

(Dalszy ciąg).

— Takby należało, ale ponieważ czuje jakąś niechęć do tych dzieci, sądzę, że nie będzie miała ochoty pójść do nich; cóż, Adelciu?

Adelcia nic nie odpowiedziała, tylko przeglądała bilety.

— Pewna jestem, że ta pani jest nieprzyjemna — rzekła — ję bilety nie są takie piękne z grubego papieru, jak bilety mamy, tylko strasznie cienkie, jak papier; a jeżeli ona nie jest miła, to i ję dzieci nie będą przyjemne.

— Dziwny masz sposób sądzenia ludzi po grubości biletów wizytowych — ozwał się ojciec — ja zaś tylko to wiem, że znam matki bardzo miłe i dobre, a jednak ich córeczki są bardzo niegrzeczne.

Adelcia zawstydzona, bo zrozumiała, co ojciec chciał powiedzieć i odwróciła się do okna, żeby ukryć oblewający ją rumieniec. Jednocześnie usłyszała na ulicy wesołe śmiechy i ujrzała dzieci, wracające z ogrodu. Najstarszy chłopczyk niósł składane krzeselko nauczycielki, dziewczynka ję książkę, a małe dziecko dźwigało piłkę. Rozmawiały z nauczycielką bardzo grzecznie i układały plany zabawy na dzień następny, Adelcia usłyszała, że miały budować twierdzę z piasku.

Ach, mój Boże! żeby też ona mogła pójść pomódz im w tę rozkoszną zabawę.

— Adelciu — rzekła mama — pytałam cię, czy chcesz pójść jutro ze mną?

— Nie, dziękuję mamie — odpowiedziała, odwracając się od okna — nie jestem ciekawa; nie będę z pewnością lubiła tych dzieci.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz dzień był prześliczny i nasze dziewczynki zaraz po śniadaniu poszły nad morze; po drodze mama kupiła im małe łopatki.

Adelcia z daleka już ujrzała jasnowłose dzieci. Bawiły się wesoło. Uwiązały piłkę na sznurku i rzucały w morze, a przypływające fale wyrzucały ją napowrót na wybrzeże. Z daleka nie widać było sznurka i Adelcia nie mogła pojąć, jakim sposobem taka duża i ciężka piłka utrzymywała się na powierzchni wody?

— Jak oni się doskonale bawią — westchnęła.

— Kto taki? — zapytała mama.

— Te dzieci; takbym chciała się z nimi zapoznać — odparła dziewczynka.

— Chodź, Adelciu — zawołała Kostusia — my się także będziemy dobrze bawiły.

Adelcia nie miała z początku ochoty do zabawy, ale nowa łopatka i taczki skusiły ją wkrótce i zaczęła wraz z siostrą kopać piasek i zbierać różnokolorowe muszelki.

Morze tymczasem odsuwało się coraz dalej, piasek się ukazał, a gdy już był dość suchy, by na nim można było się bawić, jasnowłose dzieci porzuciły piłkę i zaczęły budować owę twierdzę, o której wczoraj jeszcze wspominały. Na ten widok Adelci odechciało się zbierania muszelek, odsunęła taczki, i zazdrosnym wzrokiem przyglądała się dzieciom. Kostusia napróżno chciała zwrócić ję uwagę na co innego, Adelcia odwróciła się od siostry i zaczęła zbliżać się powoli do tamtych dzieci.

Kostusi przykro było, że siostrzyczka odeszła, ponieważ jednak ta wcale powracać do niej nie myślała, zaczęła bawić się sama. Tymczasem nadszedł ojciec i razem z mamą przechadzali się nad morzem.

— Dzieci mogą zostać same — powiedział pan L. — nie odejdziemy daleko, a chodząc spoglądać na nie będziemy.

Kostusia, zostawszy zupełnie samą, obejrzała się niepokojnie za Adelcią. Dziewczynka odeszła była dość daleko, stała już blisko owych obcych dzieci, zbliżała się do nich coraz bardziej, stanęła wreszcie tuż przy nich, i Kostusia sądziła, iż chyba z nimi rozmawia; bawiła się jednak dalej. Zaczęła robić babkę z piasku, wtykając muszelki zamiast rodzyneków, a zrobiła tę babkę tak ładnie, że wyglądała zupełnie jak prawdziwa; Kostusia krajała ją łopatką na małe cząsteczki. Nagle ktoś przebiegł koło niej, potrącając tak mocno, że o mało nie upadła, podniosła głowę i ze zdumieniem ujrzała Adelcię, zaczerwienioną i zmieszaną, siedzącą na piasku.

— O, Adelciu, jakżeś mnie przestraszyła! Ale co ci się stało? — zawołała podbiegając do niej.

Adelcia nie chciała odpowiedzieć.

— Gdzie mama? — zapytała.

— Tam — odparła Kostusia, wskazując przechadzających się rodziców.

— Gdzie? — zawołała Adelcia, zrywając się — pokaż mi.

Kostusia wskazała ławkę, na której właśnie rodzice usiedli. Adelcia zarumieniła się jeszcze bardziej.

— Dlaczegoś się tak zaczerwieniła? — zapytała Kostusia.

Adelcia nie chciała odpowiedzieć, ale siostrzyczka tak nalegała, że wreszcie wyznała, co się ję przytrafiło. Gdy poszła ku jasnowłosym dzieciom, chciała tylko spojrzeć na ich zabawę i wrócić zaraz do Kostusi; ale im bardziej się do nich zbliżała, tęp więcej pociągały ją ku

sobie. Wybudowały ogromną twierdzę z wilgotnego piasku, z wałem, wieżami i mostem, właśnie robiły strzelnice. Około wału był rów, który przyptywające fale napełniały wodą; postanowiły na wierzchu umieścić piłkę, aby wyglądała naksztalt kopuły, i najmłodszy chłopczyk pobiegł po nią do nauczycielki. Wtedy Adelcia chciała zobaczyć, jak też twierdza wygląda od strony morza, a odwracając się spostrzegła, że rodzice odeszli i Kostusia sama była na wybrzeżu.

Pokusa przyłączenia się do nieznajomych dzieci, już tak silna przedtém, jeszcze silniejszą się stała.

Adelcia zwykle nie była nieposłuszną i z początku usilnie odpierała złe myśli, ale gdy dzieci umieściły piłkę na zamku, pozatykały chorągiewki na wieżach i zawołały „Wiwat”! Adelcia nie mogła już się powstrzymać, zaczęła skakać i klaskając rączkami, wołała także „Wiwat! wiwat”!

(d. c. n.)

ZAGADKA (M. Z.)

Ujrysz to u ryby, czworonoga, ptaka,
Nosi to i pani, chociaż nie wszelaka,
Nikt po swoim chętnie deptać nie pozwoli,
Choć co boli zwierzę, to pani nie boli.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 49-go.

Zadania konikowego:

Oko pańskie konia tuczy.

Skrzynka do listów.

Chmurce za miły liścik dziękujemy, cieszymy się, że kochana Chmurka o nas nie zapomniała i mamy nadzieję, że teraz po powrocie z wycieczki częściej pisywać będzie.

Jaskółce z nad Granicy przesyłamy liścik następujący:

„Kochana Jaskółeczko! Czuje, że bardzo niegrzecznie z Tobą postąpiłam, nie odpisując na Twój uprzejmy liścik. Przyznając się do winy, proszę o przebaczenie i o nowe zawiązanie korespondencji. Ja się nazywam Helena, mam lat 12, mieszkam w Warszawie. Moje siostrzyczki, Klemusia i Manusia, znacznie młodsze są odemnie; w wolnych chwilach ubieram dla nich lalki i czytuję im dodatek z „Wieczorów”. A ty, Jaskółeczko, co porabiasz? czy masz rodzeństwo, gdzie mieszkasz? Odpowiedź jaknajprędzej Twój nowój przyjaciółce Chmurce”.

Ola przysłała 50 kopiejek dla ubogich, oddano je biednym dzieciom.

Skalka z nad Teterowa wcale nieźle pisze na swój wiek i mamy nadzieję, że zasłuży na to, aby „Wieczory” były na drugie półroczcie zaprenumerowane. Niechże kochana Skalka nam doniesie w następnym liściku, które powiastki jój się najlepiej podobają. Żądane N-ra wysłane, reszta z rubla oddana ubogim dzieciom.

Derkacz z nad Kodemy musi być figlarz nielada. Nie możemy powiedzieć, żeby to było ładnie uderzyć kogo ze swawoli, ale pisanie liścików, choćby i w zeszytach, nie jest swawolą szkodliwą. Prosimy bardzo Mamy, aby je zawsze za pokutę kazała odsyłać do naszej redakcyi. Niechno tylko Derkacz dostanie się do szkół, a z pewnością się prędko usatkuje.

Do Wilczyńska liścik załączamy:

„Kochany Wilczyńsku! Mam trzech braci, Kazia, Zygmunś i Włodzia, i trzy siostry, Józię, Jankę i Idalkę. Kazio i Zygmuś są w szkołach, Józia uczy się w domu razem ze mną, Janka zaczyna się uczyć także, Idalka jest jeszcze bardzo malutka, a Włodek ma trzy lata. Wkrótce przyjadą starsi braciszkwowie na Święt, więc nie braknie mi towarzystwa do dokazywania i figlów. Bardzo byłem rad z Twojej odpowiedzi.

Derkacz z nad Kodemy”.

Ukraince na Mazowszu za tyle dowodów życzliwości serdecznie zasylamy dzięki. Pomysł kochanej Ukrainki piękny jest i szlachetny, lecz niestety! do wykonania niełatwy, próby podobne nieraz już spełży na niczém. W dzisiejszych ciężkich czasach zwłaszcza, gdy czytelnictwo tak strasznie upadło, niepodobna myśleć nawet o rozszerzeniu objętości Pisma lub témbardziej o podniesieniu ceny. Sądzymy jednak, że dział, do tego celu stosowny, może być i bez osobnego dodatku wprowadzony i pomyślimy o tém.

Kryni K., Iziowi i Zosi A. w Krakowie przesyłamy pozdrowienia od Niezapominajki z Kowieńskiej doliny i Ukrainki na Mazowszu.

Iskierce liścik następujący:

„Kochana Iskierko! Szczerze Ci dziękuję za pamięć, którą dowodem jest i lamigłówka przypisana Ukraince. Widocznie oba sympatyzujemy z sobą i może nasz stosunek nie skończy się na przelotnej znajomości.

Ukrainka na Mazowszu”.

Czeremcha z nad Cetyni zadziwiła nas niezmiernie. Czy mogło się to zdarzyć kiedykolwiek, aby życzenia Świąt czy też inne przychylne wyrazy nie były przez redakcyą naszą przyjęte z serdeczną wdzięcznością? Zwykle tylko na takie życzenia, aby się zbytecznie w każdej odpowiedzi nie powtarzać, dziękujemy wamiłskim kochanym korespondentom razem. Obrazki dramatyczne przez M—a (Zielińską) będą w dalszym ciągu podawane. Ucieszyła nas wiadomość, że „Landgrafówna Zosia” tak się podobała, oraz, że kochana Czeremcha poznała od razu dalszy ciąg Reginald w powieści „Prawdziwe bogactwo”. Nie wszyscy byli tak domyślni. Za przesłane dla ubogiego ucznia 2 rs. dziękujemy w jego imieniu.

Topolka z nad Kodemy prawdziwą nam sprawiła przyjemność donosząc, że Bodiak stepowy o nas nie zapomni. Choćby miał czasu sam napisać, zawsze mu serdeczne zasylamy pozdrowienie.

Brzózce z nad Giełczwi nie możemy donieść, jakie ma imię siostrzyczka jój Brzózka srebrna, bo i sami o tém nie wiemy. Powieść „Prawdziwe bogactwo” ku wielkiej radości naszej, a zapewne i szanownej autorki, wszystkim czytelnikom się podobała. Mamy nadzieję, że i inne powieści, które przygotowaliśmy na rok bieżący, będą z równem zajęciem czytane. Malutkiej Jadwigi przesyłamy całuska, oczekując liściku, który jednak pewnie w tym roku jeszcze nie nadejdzie.

Wisetka nadesłała rubla dla ubogich.

Pani J. S. z P... Szaradę wydrukujemy, lecz wierszyk nie nadaje się do druku. Sądzymy, że proza stosowniejszą byłaby w tym razie; postaramy się obmyśleć jakąś powiastkę, która może skuteczniej podziała od kar i przymusu.

Wszystkim którzy nam przesłali opłatek i życzenia Świąt przesyłamy serdeczne podziękowanie i życzenia wzajemne.